



Zimowy Bajkał

Każda pora roku jest dobra na wyprawę rowerową, a szczególnie dobra jest zima na Syberii. Nie ma komarów, niedźwiedzie śpią, a rzeźkie temperatury motywują do kręcenia korbą. Żeby nie było za łatwo, postanowiliśmy przejechać się po lodzie. A konkretnie po najgłębszym jeziorze świata.

Wszystko zaczęło się wiosną 2009 roku, kiedy zaproponowałem Wichrowi pierwszą wyprawę rowerową. Sęk w tym, że mój przyjaciel nigdy wcześniej nie wyjechał jednośladem za miasto, a z rzeczy niezbędnych do podróżowania miał tylko zapal. W sierpniu pedałował już dziarsko przez Bałkany, po trzech tysiącach kilometrów docierając do rozgrzanych niemiłosiernie palącym słońcem Aten. Wiedziałem już, że mam partnera zdolnego do realizacji najgłębszych pomysłów.

Po tej przygodzie uznaliśmy, że wolimy, gdy jest zimno. Dlatego w kolejne wakacje udaliśmy się za koło podbiegunowe, do Murmańska. Tu nie było problemów z jazdą po ciemku – dzień trwał praktycznie całą dobę, a temperatura spadała wraz z przemieszczaniem się na północ, podobnie jak liczba komarów, gżów i meszek, przez które musieliśmy z początku jechać w moskitierach. Jedyne niedźwiedzie ze spokojem przechadzały się po bezkresnych lasach na całej długości naszej trasy, nie interesując się zbyt wiele rowerzystami rozkładającymi obozowiska nieopodal ich ścieżek. Spodobało nam się.

Zimą na Syberii jest bez wątpienia zimniej niż latem za kręgiem polarnym. Coś już o tym wiedziałem, bo spędziłem pół roku w Irkucku na wymianie międzynarodowej. Bajkał zaczyna się tuż za tym miastem – raptem 60 km. Pierwsze spotkanie z nim było jak zapoznawcza wódka z Rosjanami – doznanie intensywne i zwalające z nóg. Jezioro powala ogromem, onieśmiela przestrzenią, przeraża głębokością, grozi huraganowym wiatrem. I kusi.

Zwiedziony na pokuszenie zaniedbywałem studenckie obowiązki, by jak najwięcej czasu spędzać nad brzegami Świętego Morza, jak nazywają je miejscowi. Kupiłem rower wysmienitej marki Lexus Voyager, marząc o wyprawie dookoła jeziora. Niestety, okazało się, że w lecie Bajkału objechać się nie da, z tego prostego powodu, że... nie ma tam dróg.



Na wielu kilometrach nie ma nawet ścieżek! Są za to komary, kleszcze-giganty, głodne niedźwiedzie, bagna i strome urwiska. Zapraszamy w zimie, można przejechać się po lodzie... Wybrałem łatwiejszy wariant i ruszyłem do Mongolii, po drodze słuchając podśmiechujek z nieco rozlatującego się jednoślada.

Musiało minąć 5 lat, nim zdecydowałem się na realizację pierwotnego planu. Przez ten czas oswoiłem się z temperaturami kilkadziesiąt stopni poniżej zera, zebrałem niezbędny sprzęt i doświadczenie, które pozwala w miarę bezpiecznie odbyć tego typu podróż. Tylko rower ten sam od podstawówki – znanej wszystkim koneserom dwóch kółek marki Scorpio (Lexusa sprzedałem na bazarze w Mongolii). W końcu złożyłem Wichrowi propozycję nie do odrzucenia:
- Rzucasz pracę, kupujesz ciepły śpiwór, a potem jedziemy na Syberię przez miesiąc jeździć po lodzie!
- Ale tam chyba jest zimno?

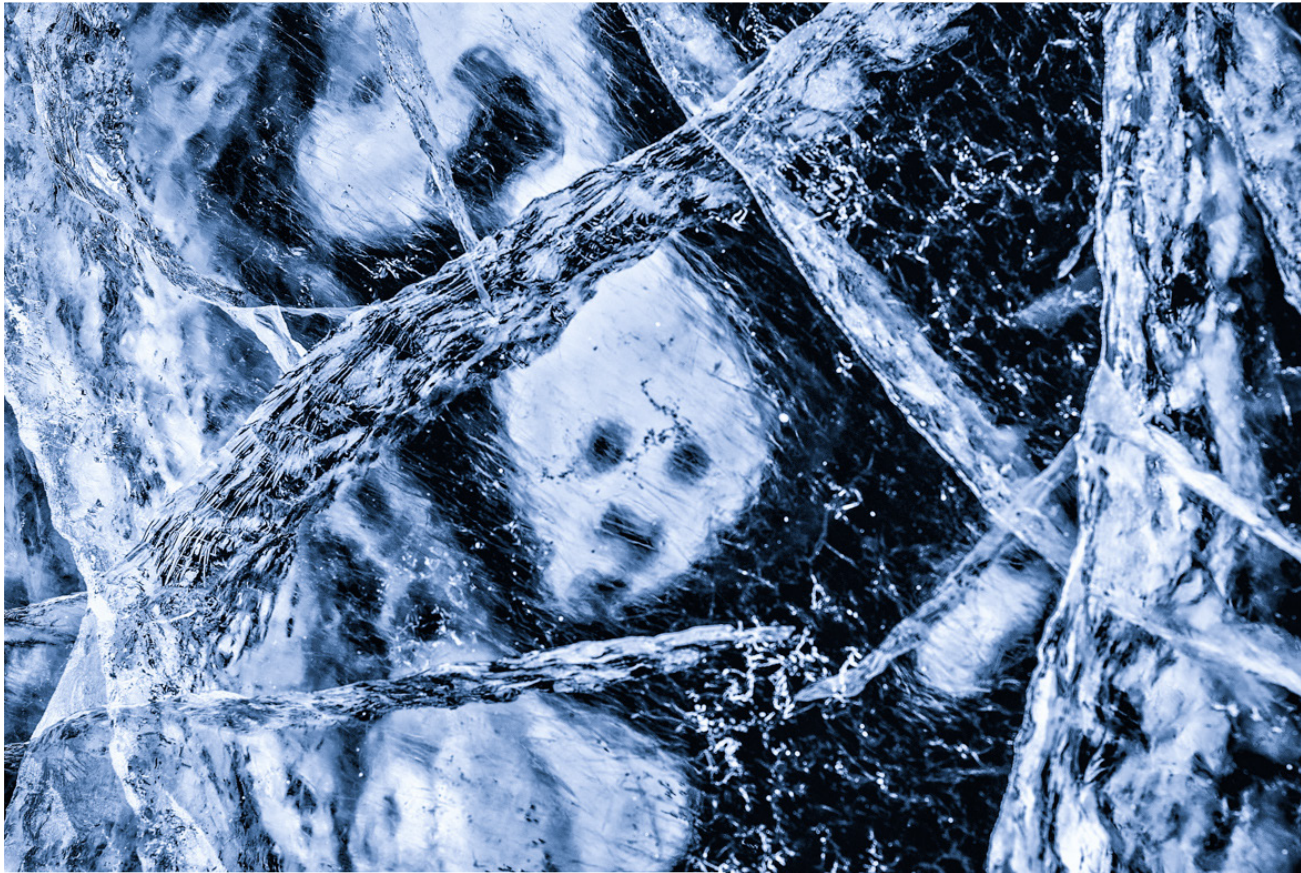
- Pojedziemy w marcu, najcięższe mrozy już puszcza, zresztą klimat jest suchy, to i zimna się tak nie czuje!

Parę miesięcy później, wysiadając na dworcu w Siewierobajkalsku, mój przyjaciel przekonał się, jak okrutnie go oszukałem. Już pierwszy przechodzień poinformował nas, że to najmroźniejsza zima od 50 lat i tyle śniegu to on jeszcze tu nie widział. Zanim dojechalśmy do wioski Niżnieangarsk, najbardziej na północ wysuniętego punktu Bajkału, temperatura spadła grubo poniżej -30 stopni, weryfikując nasze wyobrażenia o przyjemnej przejażdżce w umiarkowanym klimacie. Na szczęście tego wieczora na wysokości zadania stanęli spotkani Sybiracy, którzy pukając się w czoło kategorycznie zakazali nam spania w namiocie. Nasi gospodarze byli na tyle mili, że kolejny dzień spędziliśmy w gorą-

cych źródłach, odkładając konieczność rozpoczęcia wyprawy. Chcąc nie chcąc, w końcu trzeba wyjechać na lód. Najpierw jednak należy p olać wódki Burchanowi – duchowi Świętego Morza. Dwa dni szkolenia u tubylców nie poszły na marne. Miejscowy savoir-vivre opiera się na kilku zasadach: przede wszystkim nie obrażać Bajkału myślą, mową, a zwłaszcza uczynkiem. Starik Bajkał to żywa istota, która źle reaguje na nazywanie go jeziorem (trzeba mówić: morze), egoizm (trzeba dzielić się z duchami pieniędzmi, jedzeniem, a szczególnie piciem) i lekkomyślność (to nie jest kraj dla głupich ludzi). Bezwzględnie należy pomagać bliźnim w potrzebie i nie czynić niczego, co innym niemiłe. Poza tym... można niemal wszystko. Nie ma kontrolnych kamer monitoringu, patroli policyjnych, zakazów, nakazów i norm Unii Europejskiej. Można odetchnąć pełną piersią.

Poruszamy się zatem po zamrożniętej tafli jeziora z godnością i szacunkiem dla zamieszkujących je duchów. Codziennie rano wylewamy kilka kropel cennej wódki na śnieg, choć boli serce. Jest to jednak gwarancja bezpiecznej podróży i obrzęd ten wszyscy traktują tu bardzo poważnie.

Pierwsze zwątpienie przyszło trzeciego dnia wyprawy. Podczas jazdy znienacka pękł widelec kierownicy, a ja widowiskowo wylądowałem na śniegu. Takiej awarii nie przewidziałem w żadnych kalkulacjach, choć może powinienem był zainteresować się wcześniej, jak zachowuje się używana od kilkunastu lat stal w ekstremalnych temperaturach. Na szczęście zaledwie 2 godziny wcześniej minęliśmy jedyny ośrodek wypoczynkowy w promieniu 200 kilometrów, trzeba było tylko dopchać tam rower. Skleilem kierownicę taśmą izolacyjną i około północy mogłem usiąść przy piecu, licząc, że następnego dnia złapię okazję do Siewierobajkalska. Wbrew pozorom, nie było to szczególnie trudne – ten odcinek jeziora jest dość ruchliwy (co oznacza przynajmniej kilkanaście samochodów na dobę), zdarzają



się nawet ciężarówki. Łód gruby przynajmniej na pół metra bez problemu wytrzymał ciężar kilku ton, sto lat temu zdarzyło się nawet, że jeździły po nim pociągi! W siewiero-bajkalskich zakładach naprawy taboru kolejowego sympatyczny tokarz utoczył mi nową rurę, a następnie przyspawał do starego widelca. Trzyma do dziś.

Kolejne dni to najbardziej spektakularny i najtrudniejszy odcinek podróży. Wspomnia-ny ośrodek wypoczynkowy był ostatnim przyczółkiem cywilizacji na kolejne 100 km. Dalej były już tylko góry, zwałające się dwutysięcznymi ścianami wprost do jeziora. Ruch drogowy ustał zupełnie, a ślady po samochodach zniknęły po pierwszej zameci. Brnęliśmy przez grube hałdy śniegu z nadzieją, że już za kilometr, za dwa, pokaże się czysty lód. Niestety, udręka trwała dokładnie 35 kilometrów, przez które praktycznie nie wsiadliśmy na rowery. Średnia prędkość – 12 km dziennie. Pchając. Na oddalonych o kilka kilometrów brzegach czekały przytulne zimowia – prymitywne chatki myśliw-skie, których wyposażenie składa się z dymiącego piecyka i drewnianych przycz, jednak mogliśmy o nich najwyżej pomarzyć. Wybrzeże pozostawało poza naszym zasięgiem, gdyż pchanie rowerów kilku dodatkowych kilometrów była zadaniem ponad ludzkie siły. Pozostawało rozbijać namiot na lodzie.

Taki nocleg jest niewątpliwie mocnym, choć nieszczerólnie przyjemnym przeżyciem. Zmiany temperatury powodują, że wieczorem lód pęka z hukiem podobnym do wy-strzałów z armaty. Do tego dochodzą trzęsienia ziemi, których rocznie jest na Bajkale

z grubsza dwa tysiące. W nocy czujemy delikatne wibracje lodu i dochodzące gdzieś spod spodu bulgotanie. Tłumaczymy sobie, że szansa na otwarcie się szczeliny akurat pod naszym namiot-em jest mniejsza niż na wygraną w totolotka, jednak marna to pociecha, gdy duchy dają czytelne znaki, że jesteśmy intruzami na ich terytorium. Trzeciego dnia pchania zmartwychwstajemy, gdy wreszcie pojawia się wolny od śniegu lód. Dopiero wtedy czujemy, że cała ta wyprawa ma jakiś sens. Jazda po bajkalskim lodzie to niezwykle przeżycie. Jego intensywny, wściekle niebieski odcień wydaje się być podkoloryzowany w Photoshopie, jest tak gładki, że można się w nim przeglądać. Lub oglądać przepływające od czasu do czasu ryby. Przydają się kolce w oponach – bez nich jazda byłaby zupełnie niemożliwa. Mimo to przy silniejszych podmuchach wiatru często słyszę głośny łomot, okraszony wiązanką tak miłej na tej obcej ziemi mowy polskiej. To Wichy po raz kolejny obija so-bie kości. Na usprawiedliwienie wyjaśnię, co oznaczają „silniejsze poddmuchy wiatru”: w odwiedzonej po drodze stacji meteorologicz-nej wyniki pomiaru wskazywały 144 km/h, czyli więcej niż słynny huragan Ksawery, który spowodował w Polsce śmierć 5 osób. Im dalej na południe, tym więcej siedzib ludzkich – najczęściej

zamieszkują je rybacy, którym ochoczo wyjadamy ryby z beczek lub strażnicy parku narodowego. Zaliczamy obowiązkową kąpiel, czyli saunę w drewnianym domku na brzegu jeziora. Zgodnie z regulami sztuki należałoby sko-ńczyć rozgrzanym prosto do jeziora, ale nikomu nie chce się przebijać przez prawie metrowej grubości lód. Poko-nujemy od 30 do 60 km dziennie, na sam koniec bijąc rekord. Ostatni dzień to prawdziwy koszmar, 15 godzin jazdy na zmianę z pchaniem w głębokich zaspach, oczy-wiście pod wiatr, który biednym Polakom zawsze wieje w oczy. W takich warunkach nie ma mowy o przerwie na obiad albo ugotowaniu dodatkowej herbaty. O 1 w nocy lądujemy w porcie w Kultuku, mając w nogach 80km. Wyprawa zakończyła się po dokładnie trzech tygodniach jazdy, nieco ponad 900 km, kilku kilogramach wagi mniej i bez większych odmrożeń. Przeciągły gwizd loko-motywy oznajmił, że pociąg Kolei Transsyberyjskiej jest gotów, by bezboleśnie przenieść nas z tej zimnej krainy wprost do budzącej się do życia, wiosennej Europy. **hB**

Tekst i zdjęcia: Jakub Rybicki

